

Wychodzi w każdą
Sobotę.

Cena prenumeracyjna
w całej Austrii:
rocznie 8 złr.—półrocznie
4 złr.—kwartalnie 2 złr.
w Niemczech:
rocznie 5 tal.—półrocznie
2 tal. 15 sgr. kwartalnie
1 tal. 8 sgr.

we Francji:
rocznie 21 fr.—półrocznie
11 fr.—kwartalnie 6 fr.
Numer pojedynczy 20 ct.

Redakcja: Ulica
wałowa Nr. 19.

ŚWIAT

TYGODNIK NAUKOWY, LITERACKI I ARTYSTYCZNY.

Główne agencje: we
Lwowie: księgarnia K.
Wilda, w Krakowie
księgarnia J. Wilda, w
Poznaniu księgarnia J. K.
Zupańskiego.

Rękopisy nie przyjęte
do druku zwracają się w ra-
zie zażądania.

Szanownych autorów
i nakładców, życzących so-
bie znaleźć w „Świecie”
wzmiankę lub rozbiór kry-
tyczny swych dzieł pro-
simy o nadsyłanie Redak-
cji egzemplarzy takowych.

Treść: Męczennicy fantazyi, nowella z niemieckiego Ludwika Foglara. — Chwilowe i wieczne, przez Bronisława Zawadzkiego (wiersz). — Kalejdoskop, obrazy czasów i ludzi, przez Berlicza Sasa. (O. d.) — Głębia morza i głębia powietrza, przez dr. Tomasza Staneckiego. — Radziwiłł w gościnie, anegdota dramatyczna w 3 aktach, przez J. I. Kraszewskiego. (Dok.) — Korespondencje: z Paryża. — Promyki. — Wiadomości naukowe, literackie i artystyczne.

MĘCZENNICZY FANTAZYI,

nowella

z niemieckiego

LUDWIK FOGLAR.

„Non coarctari maximo, contineri
minimo divinum est.”

P. Loy.

Kiedy piękna chwila ma się spełnić na tym padole, dzieje się to zwykle z taką obfitością pomyślnych wydarzeń losu, że zda się, jakby część olimpijskiego nieba urwana, spadła na ziemię i błękitnym całunem szczęścia ją pokryła. Czas, przestrzeń i ludzie, w jeden dźwięk harmonijnie złane, stanowią całość, epokę, która w skutkach swoich przez długie wieki miewa swe echo w sercach ludzkości.

Był to cichy dzień jesienny, w małej miejscinie wirtemberskiej, Nürtingen. W pobliżu szumi rwący Nekar, otoczony świeżymi topolami. W oddali zielenią się bujne wzgórza pokryte zagonami i drzewem owocowym, gdzie niedłwie wychylają się białe zagrody. Po nad okolicą zaś malowniczo panuje szczyt góry Alb, to lekki, to dziki i stromy, łagodny pan uśmiechniętych dolin... Tych okolic spokojnych nie doleciał szczeł oręza w roku 1790. Sielankowe usposobienie panowało w ogródku poety Fryderyka H***, który garstkę przyjaciół i współpracowników zgromadził u swego stołu w szczególnem zespoleciu, w jakim rzadko zebrać ludzi. Energiczny Schelling, który już zapowiadał późniejszego myśliciela a był perłą małego areopagu, spełnił toast pięknie i głęboko pomyślany, a wypiwszy puchar Reńskiego, prosił Fryderyka o nieco muzyki. Wesół Schubart przysuwając umbrę z lampą do klawiatury, rzekł do poety:

— Prawdziwej muzyki słuchać należy z zamkniętymi oczyma; ponieważ jednak nie mamy ochoty siedzieć jak ślepi, więc zakryjmy przed sobą muzykę.

— A więc do pieśni Fryderyku!

Bohater podniósł się wolno ze swego miejsca.

Szlachetna jego postać, idealna głowa promieniejąco odosobniała się od reszty i zdal się Apollinem przechodzącym po sali... Teraz począł preludować wśród cichego koła. Najrzewniejsza melancholia płynęła ze strón ubożuchnego instrumentu i unosiła słuchaczy. Kiedy ostatnia umilkła kadencja, Neuffer rzucił się na szyję siedzącemu obok Conzowi, a elegiczny Mattisson jakby dla błogosławieństwa, położył dłoń na głowie przyjaciela, cytując z pieśni młodzieńczego poety:

„Wychował mnie poszept

„Spiewających gajów,

„A kochać uczyłem się

„Pomiędzy kwiatami...

„W objęciu Bogów wyrosłem ja!”

Magenau zaś, barczysty humorysta, pocziwy, rubaszny, zawsze pełen dowcipu, porwał za głowę Fryderyka i ucałował go serdecznie.

— Ty dusze nam z ciała wyśpiewasz, bratku! a mnie moja jeszcze potrzebna...

Schubart nanowo nalał puhary, a Stäudlin, arcyrej szkoły szwabskich pieśniarzy zaimprovizował przy kielichu:

„Jakże nam lekko, wolno, błogo,

„Smutki pierzchają w dal chmurną drogą,

„Przy tych toastach, o przyjaciele!...

„O miejmyż serca zawsze wiosenne,

„Chociaż nadciągną chłody jesienne.

„O bracia! z wami niech radość dziele!...”

Wesoły śpiew, rozpoczęty przez Neuffera, którego chórowi sentymentalny Conz na flecie wtórował, coraz bardziej rozjaśniał i rozmarzał posiedzenie, aż purpurowe słońce zajrzało do nich poranną twarzą. Schubart, nanowo odżyły po latach cierpienia na Ascybergu, nie-

wyczerpanym był w coraz nowych conceptach, a nawet skupiony Hegel, już podówczas strone negacyjną towarzystwa tworzący, oddał się cały swobodnemu muznastrojowi. Sekendorf i Saint - Clair, dwaj obcy goście, połączyli się z kółkiem, z tą poufałością, która młodych, niespróchniałych jeszcze ludzi, łączy w pewnych chwilach tak blisko, jakby ze sobą przeżyli — całe lata.

Stäudlin otworzył leżącą książkę. — był to „Almanach Muz” — i zacytował parę strof z „hymnu do radości” Schillera.

Zaraz poczęto je chórem nucić.

Przed ostatnią strofą Fryderyk przerwał śpiewakom i rzekł:

„Każdy piękny dar niebiosów

„Błyskawica wietrznych losów...

„Ach! dla grobów on się rodzi,

„Prędzej kona, niżli wschodzi!...”

Schubart głośno zaprotestował.

— Precz z chmurami i cieniami, nie zasepiaj nam tych chwil błękitnych! Ot! raczej byś powiedział:

„Serce jest czara życia przepełniona,

„Wiecznej radości, wiecznych mąk spragniona,

„O hojna wiosno! wlaś! tyle darów,

„Że już po brzegi pełno twych nektarów,

„Gdy atom dodasz z krain twej światłości,

„To cała czara z wezbranej radości

„W jeden rozkoszy głos szumiąca, jęknie —

„I pęknie!...”

Fryderyk siedział zatopiony w myślach, wysokie, piękne czoło ukrył w dłoniach, oko jego wpatrywało się w pierścień swej lewej ręki, a kiedy Hegel z pytającym wzrokiem, kielich mu przysunął, odrzekł:

— Ten pierścień mam od matki, od drogiej, kochanej mateczki; patrz, słowa na nim wyryte: „Pan Bóg z Tobą!” już w połowie się zatarły. I czasem trwożno mi... zdaje mi się... jak gdyby już Boga dla mnie nie było!...”

— Oho! — odrzekł Conz — oto masz twego Spinozę! precz z tym tematem!

Na cześć nieśmiertelności wznoszę libację!... do ciebie!...

Ale Fryderyk odsunął kielich.

— Zda mi się — mówił — jakby ta godzina była pożegnaniem młodości... kiedy pomyślę, że jutro, jutro już! wszyscy się rozprószyli po świecie... i kiedy... i jakimi was znówu obaczę?!

Tak przyjaciele! nadchodzi groźna era Cezarów, każdy musi swoją cegiełkę dorzucić do oświecenia, do poprawy rodzaju ludzkiego, dopomóż kielkowaniu ducha, dojrzaniu jego owoców! kędyż naprzód rękę przyłożyć?...

— Daj tylko — ktoś przerwał — dwóm aniołom miłości i pokoju rozpocząć dzieło, sprawa ludzkości nie jest straconą, dokąd my sami w nią nie zwątpimy... Ty zaś mój Fryderyku, wybierz sobie tak jak każdy z nas jaki zawód w życiu, a wytknąwszy sobie cel jasny, tem samem przyłożysz się do wzmocnienia wszystkiego, co wielkie, zaczę i trwałe.

Na to rzekł, zrywając się, Neuffer:

— Niezabądźcie w nim tylko artyści i poety!... Czyż sądzicie, że Boga w sobie zaprzec można, tak jak się zapiera zbytecznych nawyczek i nałogów?... Niejeden, i to większy od nas, usiłował być czelem czynu a przy tem uczonym lub poetą — ale zawsze jedno pochłoneło drugie, sztuka szkodziła urzędowi lub, co największy z grzechów duchowych: urząd szkodził sztuce!...

— Z tego dualizmu — wtracił Magenau — tylko muzy wyrwać nas mogą:

„O wczoraj milczeć, niewspominać złego,

„Na jutro nie niestanowić,

„A co nam dzisiaj przyniesie dobrego

„Skwapliwie użyć i złować!...

„Do tego wiążą się różowe losy —

„Chwilowo tylko wznosim się w niebiosy!”

W tej chwili usłyszano w dziedzińcu głośne ujadanie psa, zwiastujące nowego gościa. Był to Albert Nast, przyjaciel młodzieńczy poety, seminarzysty z Maulbronn. W podniesionej ręce trzymał list i wpadł promienny jakąś błogą wieścią.

— Palmowa to różeczka dla Ciebie, mój Fryderyku! i list mu wcisnął do drżącej dłoni:

„Mój młody przyjacielu!

„Powiodło mi się najlepsze miejsce w domu Gontard dla Ciebie pozyskać w Frankfurcie nad Menem. Otrzymasz posadę nauczyciela. Czekała Cię z każdą godziną. Żegnam Cię i przesyłam najtkliwsze życzenia pomyślności.

Twój

Fryderyk Schiller.

Okrzyk radości podziwu dał się słyszeć w zgromadzeniu, wszyscy cisnęli się, by obaczyć pismo ubóstwionego wieszczka. Nast jeszcze trzymał w swym objęciu Fryderyka, który przyszedłszy do siebie rzekł:

— Bracia! oto czegom tak smutno czekał i com przeczuwał z obawą! To głos poważny życia woła! to żelazna ręka konieczności do drzwi mych kołace i wrywa z naszego objęcia. Schiller tak często nas łączył, jego kapłańskie, świat obejmujące serce tak często nam przewodniczyło, dziś ten sam Schiller nas rozrywa! Jemu zwierzałem się od dawna, on mi wybrał stan nauczycielski... ponieważ koniecznie stan jakiś wybrać potrzeba — „when it must be done, it may be quickly done!” Łatwo zbiorę moje manatki... Plato, Biblia, parę rękopisów — ot i wszystko! Jutro, dziś jeszcze w nocy ruszyć mogę!

Jeszcze jeden, ostatni, gorący toast rozbrzmiał się głosem drżącym od wzruszenia, jeszcze jeden, studencki chór, jedna pieśń Schubarta i ze zmrokiem poranku, widne były liczne postacie, rozchodzące się w różnych kierunkach wieżyczki wiatrowej.

(C. d. n.)

CHWILOWE I WIECZNE.

Dosyć już kobiet w życiu kochałem
O czarującej piękności
I wiele kropel miodu wyssałem
Z rozkosznej czary miłości.

Znam jej lubieżne, miękkie omdlenia,
Extazę niemą a głucha
I znam jej pełne ogni natchnienia
Dające lot orli duchom.

Tyle już razy z rymów rzeźbiłem
Modele waszych uroków,
Lub zachwycenia siłą gonilem
W błękitnych fale obłoków.

W mych Beatryczy jasnym promieniu
Młodzieńcze nieciłem szaty
I w każdym pięknych kształtów zjawieniu
Mieszcłem swe ideały.

Lecz dziś te srebrne księżycy zbladły
Na widnokręgu mych marzeń,
Laurowe wieńce bogin opadły —
Jam nowych zapragnął wrażeń.

Aż ty stanęłaś niby zaklęta
Potęgą mego pragnienia,
Tak eteryczna, piękna i święta,
Jak moje ciche marzenia.

Postać twa cała w klasycznym stylu
Jest żywą pieśnią, jak ongi
Ta doskonała, ta piękna z Milo,
Której stawiano posagi.

Ciało twe z puchów tkane jedwabnych,
Jak rannej mgły smugi białe,
Rzuca promienie kształtów powabnych
Na moje oczy nieśmiałe.

Zamilkła pamięć przeszłych uniesień
I egzaltacji niewczesnej.

A wszystek duch mój ku tobie rwie się
Na skrzydle natchnionej pieśni.

W tym rozmodlonym gubie zachwycie
Wszystko, co niegdyś kochałem,
By, jak Dant, nowe rozpocząć życie
Zwąc ciebie mym ideałem.

A jednak w głębi mam smętą wiarę,
Że i te lube sny miną,
I twej postaci rzeźbione czary
W rozbieżnej mgłę się rozplyną.

Bo niema kresu w świecie piękności,
Ale powabna ta Pani
W ciagle bogatszym wieńcu jasności
Zstępuje do sere otchłani.

Ani ja nie wiem, czy jutro może
Nie ujrzę formy cudniejszej
I czy sonetu w jej cieś nie złożę
O namietności silniejszej.

Wszak arcydzieła tworzy natura
O każdej wieków godzinie,
Czy w górze błękit, czy mgli się chmura
Piękności świat nie przemienia.

I po nad nasze rymy plecione
Z misternej wyrazów tkanki,
I nad sonety czule kreślone
Na uwielbienie kochanki,

Snuje się w róże dzierzgana wstęga
Wielki poemat natury,
Kobiecych wdzięków cudny potęgą,
A brzmią mu wieczności wtory.

Echo tej pieśni nigdy nie zginie,
Bo wiecznie tam niebios góra
Na słońce i czasów sennej ruinie
Żyć będą — Bóg i natura.

Bromisław Zawadzki.

KALEJDOSKOP

obrazy czasów i ludzi

przez

BERLICZA SASA.

(Ciąg dalszy.)

Tryb życia odesskiego był następny. Ranki spędzano w kąpieli. Urządzenie ich nie odznaczało się wcale ani wykwinnością ani komfortem. Kilku Ormian i Greków czekało na brzegu, zapraszając krzykliwie do namiotów płóciennych, w których wnętrzu umieszczono ławeczkę, stół i lustro z tych, co zamiast wiernego odbicia twarzy pokazują karykaturę. Morze podnieca apetyt. Każdy więc po kąpieli spieszył do siebie na śniadanie. Poczem opuszczano story i zamykano się w domu, dopóki skwar dzienny nie minie i pył wapienny na ulicy nie opadnie. Skoro chłodzić poczyną, jedyny bulwar odesski, na stromem wybrzeżu morskiem rozrzucony, napełniał się publicznością, w której wszystkie niemal próbki człowieczeństwa na okaz występowały. Strój Franka obcisły i nikczemny rumienił się tam przed okazałym, istnie pańskim strojem Morei i Albanii lub Małej Azji. Grek, Ormianin, Karaim, Tatar, synowie stron rozmaitych i rozmaitych rodowych tradycji, niesli każdy z osobną swoją cechą, odrębną, jakby uragając się

w nas Polaków, żeśmy się naszych podań obyczajowych i stroju naszego wyrzekli. W całym tym tłumie naszych panów i paniczów, asystujących domom z nadskakiwaniem paryskich *petit maitre'ów*, lub londyńskich *dandy'ch*, dwóch tylko pocziwców stapało poważnie, zarzucając butnie wyloty i pokrecając wasa. Byli to hrabia Leopold Krasicki, zany obywatel z Ukrainy i stary Wybowski, niegdyś wiarus Kościuszkowski z pod Racławic, którego doświadczonej uczciwości marszałek Marek Sarnecki dozór swego magazynu zbożowego w Odessie i futoru pod Odessą polecił. Moja ciotka Karolina Sobańska, pani Turkułowa, księżna Sutzo i pani Korsi, najpowabniejsze damy naszego grona, były ozdobą tej bulwarowej przechadzki. Liczni orszak mężczyzn stapał z nimi. Jenerałowie Langeron i Witt należeli do najmiej przyjętych, bo im do tego wysokie ugrzecznienie i dowcip dobrego tonu udzielały niezaprzeczonego przywileju. Z tyłu włókł się leniwie krokiem hippopotama, opasły hr. Gurjew, jenerał nie-

nawidzący prochu, ówczesny naczelnik miasta (hradonaczelnik) tem znakomity, że posiadał miliony, a tem wsławiony, że susząc łeb nieustannie nad chemią kuchenną wynalazł w końcu jakąś fenomenalną kaszę, co się poninie kaszą gurdjewską nazywa. Tej to zapewne a nie innej zasłudze obowiązany był on późniejsze wyniesienie swoje na posadę wielkorządcy naszych prowincyi. Kto kaszę wymyślił, mógł i nawarzyć kaszy, a tego właśnie potrzeba rządowi, czatującemu zawsze na pretekst ucisku i rabunku.

Jakkolwiek zajmująca być mogła ta różnorodność obrazu, mało mnie ona interesowała. Całą baczność moją zwracałem na morze, szmaragdową przestrzeń swoją u nóg moich rozciągającą. Wał toczył się za wałem i dań piany srebrzystej na brzegowym piasku zostawiał. Powiewy niosły także swój haracz świeżości i balsamów. A tam w dali głębokiej, gdyby Alcyon oceanu, okręt jakiś rozpuścił skrzydła swych zagli spiesząc do portu na nocleg. A w porcie wiały bandery, łopotwały flagi barwiste na masztach. A masztów tych, osnutych pajęczą siecią lin, przepasanych galerijką rejów, była moc wielka — istny las! Słychać było kiedy niekiedy głośnie śmiechy i hasła morskiego ludu. Czasami odzywał się chór jakiś daleki. Rule Britannia, śpiewali Anglicy, Yankee doodle śpiewali Amerykanie północni. Grecka pieśń korsarska brzmiała także dziko w mrokach opadającego wieczoru i salwą powitalną miastu uderzały działa przybywających do portu okrętów. Już fana, przewodnik żeglarza, zapłonął wysoko na szczycie swej wieżycy. Jakby posłuszne hasłu i niebo zaczęło swe lampy zapalać. Coraz więcej i więcej światła jaśniało nad morzem. Śmugiem promieni zaiskrzyła się topiel zwierciadłana. Świat mroku zawiśł pomiędzy niebem szczytu i niebem padołu — nad firmamentem morza i pod firmamentem empireju. Złudzenie owładnęło mną. Czarem widowiska rozogniła się wyobraźnia. Cały się w niej pograżyłem.

„Na teatr! na teatr!“ wołano zewsząd. „Pora już! pora!“ — i ruszyły tłumy. I mnie także na teatr jechać kazano. Posłuchałem, lecz niechętnie. Po tej muzyce natury, złożonej z tylu żywiołów uroku i brzmienia, po tej cudnej dekoracyi ogromów nieba i ogromów morza, pełnych barw żywych, odcieni i blasków, po tych świeżych i żywotnych balsamach przestrzeni bez granic — teatr odesski był dla mnie za ciasny — a słowicze rulady italskiej opery były mdłe i bezbarwne. Dawano *la scelta dello sposo*. Katalani śpiewała prześlicznie swoją najulubieńszą arye, *la placida campagna*. Teatr drżał od oklasków i wołań zachwytu, lecz ja byłem chłodnym i obojętnym. Czulem się jakby w więzieniu. Tchu niestawało piersiom moim. Śpiew *primadonny* nie był to śpiew natury i samorutnego natchnienia! Śpiewała, bo jej płacano za to, bo śpiewać musiała. A te lampy i kinorkiety gorzały nie blaskiem, nie promieniem jak gwiazdy, ale mrokiem i dymem. A te dekoracye, kulisy z brudnych blejtramów, łańcuchy płócien zafarbowanych i kłamstwem optyki uszlachetnione, nie była to gruba parodia natury? karykatura jej wdzięków?

Skarabelli, gorący miłośnik natury, pojął mnie i sercowie pokochał. Nie było dnia, żebyśmy nie zwiędzali z nim portu, rejdy i brandwachty, na której służył. Nie posiadałem się z radości. Wszędzie mnie było pełno, i na pokładzie i w kajutach i w *triumie*. To na armacie usiedzę, to wyskoczę na kabestan, to znowu wbiegnę po sznurowej drabince na reję i dalej rzeźwić się i skakać. Jeżeli był czas po temu, płynęliśmy do kolonii niemieckiej Lustdorf, albo do futoru Renaud. Czterech barczystych majtków pedziło wiosłem łódź naszą o latyńskim żaglu. Skarabelli siadał u steru a ja gawroniłem na

morze. Kolonia Lustdorf leży na pochyłości brzegu pośród drzew owocowych i winogradników. Świeża to i miła oaza. Bogata przepychem widoków, jakie tam oko spotyka. Skały brzegowe muszlowej formacyi miękkie i ciągle uderzane falą, sterczą ostre, chropawe, na strzępki podarte. Ciegłe w nie morze uderza strzelając rżesistemi bryzgi z szumem ulewnego deszczu lub gradu. Wiatier wnikając w te wyżłobienia i otwory ciągle jakieś jęki i płacze zawodzi. Są tam i groty wiekami wydrażone, dłonią morza w rzeźby fantastyczne ozdobione — tajemnicze i cieniste. Coś ossyanicznego, dziko poetycznego mają one w sobie. Fingal i Rob-Roy poniewoli na myśl przychodzą. Legenda tworzy się i rośnie.

Siedzieliśmy kiedyś ze Skarabellim u wniścia jednej z tych jaskiń nadmorskich. Step wodny Pontu rozścielał się przed nami szeroko, głęboko. Powiewy łagodziły skwar dzienny. Przyjemnie było nad wyrazy. Skarabelli opowiadał mi starożytne dzieje, pontyjskich wybrzeży. Wymieniał greckie osady, kwitnące przemysłem i bogactwem, co na nich różnocześnie powstawały. Słuchałem bacznie narracyi jego i dziwiłem się wielce, że na tej pustyńnej ziemi, na tych dzikich obecnie i bezludnych wybrzeżach kwitły wielkie emporye, ciasno handlowymi stosunki z Tyrem, Sydonem, Kartaginą i wyspami archipelagu greckiego związane. Tenedos przysyłała im swoje garncarskie wyroby, Lesbos szklanne pułhary i konwie, Chios swoje wina w ogromnych fasach glinianych umyślnie do tego użytku zastosowanych. Samos tkanie rozmaite, kobierce, amfory gliniane najpiękniejszego kunsztu. Kos materye jedwabne i szkarłaty, Kypros miedź, żelazo, drzewo i len do żagli. Z grodów południowego brzegu Pontu płynęły przedmioty rozkoszy i zbytku, klejnoty złote i srebrne, purpury, pachnidła i balsamy. Targowcy z Aten, Macedonii, Tracyi, Eubei, Beocyi, Paflagonii, Pontu i Tauridy zwiedzali kraj ten, którego przemysłowe i rolnicze bogactwa świetne niegdyś, dziś połotem czasów rozwiane, nęciły ich gromadnie. Świątynie bogów płynęły ofiarnymi dymy. Hekata, Izyda, Eskulap, a w Olbii Apollin (*Olbio-Ergos*) mieli swoje wotywne ołtarze. Tu Anacharsys zginął i Achilles został pogrzebiony. Tu był teatr bojów zaciętych i wielkich wodzów rozgłośnie brzmiały imiona. Krwią przesiąkła ta ziemia — krwią rumieniło się to morze. I ludy padły! i grody padły! Proch zniszczenia osiadł na ich gruzach. Potem i gruzów niestało. Step się tykoł rozleślał dokoła jakby na straży przeszłości i gdziekolwiek tleje dotąd w pustyni gasnąca lampka pamiątki!

Skarabelli zamilkł na chwilę — potem rzekł: „Dzisiejsza Odessa nie jest to dawna emporya Odissos (*Ὀδυσσος*), która była wyżej o kilkadziesiąt stadyów. Na tem miejscu istniała grecka kolonia *Fiska* i na jej to gruzach usiadła później turecka forteczka *Chadżibey*, z której powstała Odessa.“

Poważną narracyę Skarabelliego, wielce mnie interesującą, przerwało niespodzianie pojawienie się kilku łodzi sznurkiem płynących pod latyńskimi żaglami. Zmierzają ku nam i wiozą liczną kompanię dam i mężczyzn. Skarabelli dobył kieszonkową lunetę i skierował ku żeglującej flotylli. — *Corpo di Bachò!* — zawołał wskazując na łogi! — *Mais c'est tout le beau monde d'Odessa qui s'engleivre nous!* — Zbiegliśmy ku małej odnodze ostrym klinem wciśniętej do ładu i zaczęliśmy wołać. Uprzejmie odpowiedziano nam z łodzi i białe chustki powiały w powietrzu. — *A, je te tiens enfin, mon petit pirate!* — zawołała ciocotka moja pani Karolina Sobańska, grożąc palcem

żartobliwie. — Wiozę z sobą siłę zbrojną na ciebie! — dodała, wskazując na Langerona i Witta co jej towarzyszyli.

Wkrótce przybiły statki do brzegu.

Z drugiej łodzi wysiedli książę Sutoz z żoną i córeczką, pani Korsi z mężem i dwie jakieś kobiety strojne lecz niepiękne.

Trzecia łódź przywiozła pocziwego Silvo, komendanta odesskiego fortu, jeneralnego konsula austriackiego Toma i konsula neapolitańskiego De Ribasa.

Z czwartej wylądowali mój wuj marszałek M. Sarnecki, stary Desmeth dyrektor botanicznego ogrodu, Romaré naczelnik tamożni i mój nauczyciel Gussek.

Z piątej wysiedli pani Katalani, pulchna *prima-donna* z mężem, pocziwy grubulo Buonavoglio, dyrektor teatru, a także blady i laskonogi Monsieur Bouche, nauczyciel tańcu, wielce lubiony powszechnie, który już dwa smyczki na moich kolanach połamał za moje choreograficzne wykroczenia.

Szosta dźwigała przybory do podwieczorku, prowizye alimentarne, cukry, lody, wina i służbę.

Po odbytem wylądowaniu u podnóża małego przylądka, który hr. de Langeron nazwał *le Cap de Bonne Espérance*, całe podróżne grono ruszyło gwarząc wesoło do kolonii Lustdorf. Zapomniałem powiedzieć, że promotorem spaceru, Amfitryonem ugoszczenia był wyżej nazwany marszałek Marek Sarnecki, tylekroć holdownie wspomniany w mojej Ukrainie. Za obrębem gestwiny winogradników, w sąsiedztwie mieszkań kolonistów była równina, rodzaj łąki, chociaż brak trawy spalonej skwarem nie upoważniał ją mianować się łąką. Na szczęście rosło tam drzew kilkanaście dość rozłożystych. Były to akacje, kasztany i... jakie więcej niepomnę. Poznawszy w liczbie gości samego jenerał-gubernatora Langerona, koloniści wynieśli skwapliwie z mieszkań swoich stoły, stoliki, ławki, zydeł, krzesła w proporcji odpowiedniej potrzebie. Wnet służba wzięła się do dzieła. W kilka minut, jakby czarodziejstwem lampy Aladyna, stoły były gotowe. Na białem tle prześlicznego obrusa w atlasowe arabeski i kwiaty stały w porcelanowych koszach piramidy rumianych brzoskwiń, złotych moreli, śliwek *reine Claude*, ananasów i najcudniejszych bizantyjskich winogron. Dokoła każdej z pomienionych piramid (mających więcej sensu i użyteczności od egipskich) wyginał się kryształowy krąg miseczek z konfiturami rozmaitej barwy, z którymi łaknałem wejść czempredzej w bliższe stosunki. Jakby pomniki jakiej wielkiej metropolii piętrzyły się dumnie środkiem głównego stołu feudalne baszty zamku z ciast wiążące chorągwią z karmelu, poważne wieżycy lodów opalisadowane lukrowanymi biszkoptami, srebrne urny korzyntskiego rysunku do mrożenia szampana, a pomiędzy tem wszystkim, blaskiem złota i rubina gorejące win flaszki, gotowe trysnąć werwą, dowcipem i weselem. Jakoż oddano się *con amore* wyborowi powyższych przysmaków, w czem naturalnie i ja nie byłem ostatnim. Silvo przerywał mastykację specjalów to anegdotą, to kalamburem. Langeron strzelał gęsto zreczną grą słów, w której umysł jego żywy i lotny celował. Witt sadził się na pospolitości salonowe bez tła i blasku. De Ribas rozprawiał o czemś z Tomem. Gwarnie było około stołu — coraz gwarniej, bo p. Sarnecki nie dawał wytchnąć kielichom. Roztaczał ambrozye i nektary z gorliwością podczaszego bogów, Ganymeda. W końcu wniósł solennie zdrowie dam, któremu odpowiedziano skwapliwie i w tejże chwili gdyby na skinienie jakiej życzliwej Fei ozwała się pieśń rozgłośna wojskowego chóru, ukrytego za wydatnością brze-

gowej skały. Klarynet prowadził ton i rytm, bębenek wybijał takt. Solista zaczynał strofę, razne *tutti* chóru chwytalo ją w lot i rozwiązywało finalnym akordem. Było coś dźwięcznego, metalicznego w tonie tych zdrojnych i swobodnych piersi. Było coś dzielnego a razem tęskno-dzikiego w tonicznym układzie pieśni. Przestrzeń porwała ją i unosiła. Skał załomy powtarzały urywanem i niesforem echem. Morze uderzało wtór głuchy rytmu-jąc fal uderzeniem o brzegi. Az tu i wiatr gdzieś zapiał w jaskiniach i chmura zaszumiała w górze. Pieśń chóru toczy się, przelewa na różne lądy, rośnie zapalem z siebie samej wyległym. Symfonia natury krzepi się także, rozciąga, potęguje, coraz więcej brzmi do swego akordu powołuje, coraz obszerniejsze koło przestrzeni zalega. Dal głęboka wtórzy jej głuch w odmetach, Powietrze wyzute z równowagi zaczyna macić się, łamać, rozdzielać na prądy, ciagi, wiry.

— *Nous aurons un orage!* — zawołały niespokojne damy.

— *La présence des jeés nous en garantira!* — rzekł płasko Witt, wielce zadowolony sam z siebie.

Silvo patrzył z holdowną bacznością na gotującą się walkę żywiołów. Książę Sutoz, Skarabelli, mój nauczyciel Gussek i ja pospiesziliśmy aż do najniższych krawędzi brzegu. Stan morza był niedobry. Długie wały były o ląd miewać bryzgi i piany. Wrzawa, niepokój, gniew owładnęły topielą. Zmieniała co chwila barwy, jak kameleon — miotala się gorączkowie, sycząc i hucząc złowrogo. Łodzie nasze stały u brzegu gwałtownie kołysane falą — i coraz gwarniej robiło się na ziemi — i coraz ciemniej na niebie. Nagle błysk ośniewający wylał się z chmury i piorun uderzył straszliwie. Całe towarzystwo schroniło się w mieszkaniach kolonistów. Lecz jam nie zechciał postradać widoku morskiej burzy. Zostałem na brzegu. Tego mało — prosiłem Skarabellego, który musiał z obowiązku powracać na swój okręt, żeby mnie wziął z sobą. Opozycya nauczyciela mego była nadaremna. Jednym susem wskoczyłem do łodzi, usiadłem przy Skarabellim i mimo prośby i groźby p. Gusseka, przerażonego niebezpieczeństwem, na jakie się narażałem, uparłem się i pojechałem. Skarabelli kazał żagiel opuścić i wziąć się do wiosel. Dzielni byli majtkowie, ale dzielniejsze były fale. Sądząc z oporu wiosel i steru zniosły nas z kierunku i uwlokły ze sobą. Widziałem, że Skarabelli zaczynał być niespokojnym i bacznie się w horyzont wpatrywał. Okręt jego (*brand wachta* portowa) zostawał nam z boku w coraz znaczniejszej odległości — a mrok gestnieć poczynął — a chmury biegły i biegły, czarne, gniewne, błyskawicą zaognione. I gwałtowność wiatru rosła co chwila — i rzuty fal stawały się coraz groźniejszymi dla waleją łodzi naszej. Co do mnie, żadnego niebezpieczeństwa nie pojmowałem a cieszyłem się, zachwycalem tym nowym dla mnie obrazem morskiej nawałnicy, tym szumem, łoskotem, zamętem wodnego świata, co tryskał, pieniał się, kołował niesforemnie i wszystkie brzmienia natury w jeden groźny akord chaotycznie wirujący zjednoczył. Nie wiem jednak, czemu się mój zachwyt zakończył, gdyby nie to, że dostrzeżono nas z *brand wachty* i wysłano popiesznie na ratunek nasz wielki okrętowy barkas o dwunastu wiosłach z mieczmanem doświadczonym u rudla. Wkrótce potem siedzieliśmy spokojnie w kapitańskiej kajucie, a gdy burza uciekla tenże barkas odwiózł mnie do Odessy pod opieką Zajcewskiego, który mnie aż do mieszkania naszego odprowadził. Tak się skończyła wycieczka nasza do kolonii Lustdorf.

(C. d. n.)

Głębia morza i głębia powietrza,

przez

Dr. TOMASZA STANECKIEGO.

Pierwszemi uczuciami, jakie się budzą w człowieku na widok oceanu, są zdumienie i trwoga. W zdumienie wprawiają go masy wody nieprzejranej rozległości, podnoszące się dwa razy na dobę i dwa razy opadające, — trwogą przejmują pienne fale z szumem gonące jedna za drugą, rozbijające się z łoskotem o skały i brzegi.

Z czasem zmieniają się wrażenia. Duch się uspokaja i poczyną z uwagą przypatrywać się imponującym objawom natury. Poeta, malarz zachwyca się wspaniałymi widokami i czerpie z nich natchnienie; — przyrodnik, mędrzec obiera sobie coraz inne zjawiska oceanowe za przedmiot obserwacji i rozmyślań.

Trzy czwarte części powierzchni ziemi pokryte są morskimi wodami. Zdawałoby się, że te obszary pozostaną na zawsze dla człowieka zamkniętymi, że bezkarnie w ich tajnie nigdy wędrcze się nie zdoła! Aż oto po długowiecznych usiłowaniach i niepoliczonych ofiarach tryumfuje rozum ludzki: jego dzieło, statek parowy, mknąc zuchwale po marszczących się masach płynu, przenosi ludzi, przenosi utwory sztuki, przemysłu i plody natury z jednego lądu na drugi. Te same wód zatopy, co miały stanowić granicę nieprzebytej, służą za przestronne drogi i prądami swymi przyspieszają nużącą przeprawę. Groźne wzburzenia wyzyskują do lepszego obeznania się z siłami natury, a spokojne głębie do poznania flory i fauny morskiej, do korzystania wreszcie z tych obfitych źródeł żywności i cennych skarbów.

Popęd do rozpętniania siły ducha nie dozwolił człowiekowi poprzestać na ubezpieczeniu żeglugi; w miarę jak ta rozszerzała zakres jego wiadomości, robiła go zbiegłwyszym i podnosiła jego dobrobyt, wzrastała także ciekawość szlachetna i przedsiębiorcza, kierowana światłem nauki, zagrzewana od czasu do czasu nowymi odkryciami, nowymi zdobyczami wiedzy. W nieznane dotąd dzielnice oceanów, w odnogi zaledwie podczas lata dostępne, w cieśniny tysiącami grożące niebezpieczeństwami dążyły przygotowane na wszystko wyprawy badaczy.

Gdyby każdy okręt zostawił po sobie ślady widoczne, powierzchnie morza przedstawiałyby podziwienią godną mozaikę; pomiędzy gęsto krzyżującymi się liniami, nakreślonymi rojem okrętów handlowych i wojennych, snułyby się pasma świetne pokazujące, jak daleko i w jakich kierunkach odbywały się liczne wędrowki naukowe, dokąd dotarły współzawodniczące z sobą poszukiwania, i jakie obszary wód mało jeszcze znane albo wcale trawem dotychczas nie tknięte.

Wpływ, jaki wody oceanów wywarły na cywilizację, nie jest jeszcze należycie oceniony. Na tej ruchliwej widowni przyszedł człowiek do zupełnego poczucia swych sił; tu uznał potrzebę nieodzowną znajomości nieba, rozpoznania ruchów ciał niebieskich; tu nauczył się przeczności, ścisłości, wytrwałości; tu w zapasach z siłami natury ogładał się za pomocniczymi środkami znajdującymi się w skarbnicy nauk przyrodniczych.

To też w liczbie zasłużonych mężów, co w różnych zawodach przyczynili się do postępu i rozwoju cywilizacji, nie mały poczet stanowią bohaterowie z pola oceanu, a imiona, jak Bartłomiej Diaz, Vasco de Gama, Krzysztof Kolumb, Magellan, Bougainville, Cook, Lapérouse, Freycinet, Dumont d'Urville, James i John Ross, Bach, John Franklin i wielu innych z czecią i wdzie-

cznością wspominają i zawsze wspominać będą dzieje ludzkości.

Czy tylko samą powierzchnię oceanów obrał sobie duch ludzki za przedmiot swych badawczych usiłowań? Czy tylko ich rozległość chciałby dokładnie wymierzyć, tylko kontury ich figur pouzupełniać i posprawdzać? Pokusił on się jeszcze i o wybadanie głębokości morskich topieli, ich gęstości i ciepłoty w różnych warstwach, rozbiera chemicznie zawarte w nich materje, śledzi przyczyn i praw ich ruchu peryodycznego, wypatruje kierunki i mierzy chyżość szczególnych prądów śródwodnych, rozpoznaje plastyczne ukształtowanie dna, jego geognostyczne własności, osiadł na niem zaściel.

Pląskorzeźba dna morskiego nie bardzo różni się od lądowej; przedstawia ona miejscami rozległe równiny, tu i owdzie pobródowane i pogarbione, w innych miejscach najeżona jest górami i skałami, to znów zaklesła w olbrzymie kotliny i straszne przepaści.

Laplace wyprowadził z teoryi ruchu wód morskich ten wniosek, że średnia wysokość lądów jest równa średniej głębokości mórz; później wszelako porzucił to zdanie. Humboldt uważał średnią wysokość lądu za pięć lub sześć razy mniejszą od głębokości oceanu. Wypadki pomiarów dawniej wykonywanych były nadzwyczaj zmiennymi i niepewnymi — a do tego nielicznymi; nie dziw zatem, że przypuszczenia o głębokości mórz aż do ostatnich dziesiątek lat nie mając dostatecznej podstawy chwiały się między skromnymi a przesadnymi liczbami. Adhemar chciał drogą indukcji dojść do pożądanego wypadku. Przypuszczając, że z szerokością morza jest w stosunku prostym jego głębokość, i obliczając, jaka część każdego równoleżnika przypada na wody, znalazł ciągiły przyrost rozległości masy płynnej w kierunku od bieguna północnego ku południowemu począwszy od 60° szerokości geogr. północnej aż do 60° szerokości południowej, nie mając pewnych danych co do mórz po za rzezonemi liniami położonych. Rzecz to uwagi godna, że w nowszych czasach tak doświadczenia jak i teorye przemawiają za tem, iż na południowej półkuli głębszymi są zatopy morskie.

Jakimże sposobem mierzą te otchłanie? Najprostszym głębiomierzem (barometrem) jest tak zwana ołowianka t. j. kula ołowiana 20 do 50 i więcej funtów ważąca, zawieszona na sznurze mocnym, konopnym, zwykłe na spodniej stronie nieco wydrażona, w którymto wydrażeniu znajduje się lój, ażeby w niem ugrzeźły cząstki dna na okaz. Taką ołowiankę zapuścił kapitan Ross pod 68° szerokości geogr. południowej, i w głębokości 7300 metrów jeszcze nie dosięgnął dna. Dnia 30 Października 1852 kapitan Denham znalazł w morzu atlantyckiem pod 36°41' szer. połud. i 37°0'6" dług. zachod. na przestrzeni między wyspą Tristan d'Acunha i ujściem rzeki La Platy głębię 43.382 stóp paryzkich; w tym samym roku Parker, porucznik amerykańskiej fregaty, wymierzył pod 35°30' szer. połud. i 45°10' dług. zach. głębiznę 49.100 stóp angielskich.

Mniejsza o to, że wyciąganie tak długiej liny jest bardzo uciążliwe, gdyby tylko wypadki pomiarów dokonanych zapomocą ołowianki były zawsze zgodne z prawdą. — Prądy, jakie się znajdują wśród morza w wielu miejscach, porywając sznur, wyginają go, a temsamem ściągają jeszcze z kołowrotu, choć już kula dna dosięgła.

Ze względu na tę okoliczność liczby powyższe, jakimi Denham i Parker mierzone głębiny oznaczyli, nie mogą być uważane za niewątpliwe.

W sondowaniach ołowianką znajomość prawa, podług którego zmienia się chyżość jej zapadania, jest wielce pożyteczna. Maury zauważał, że do zagłębienia się na 400 do 500 sążni potrzebuje w przecięciu 2 minuty i 21 sekund, na 1000 do 1100 sążni 3 minuty i 26 sekund, na 1800 do 1900 sążni 4 minuty i 29 sekund. Skoro więc chyżość stanie się jednostajną, wnosić należy, że już kula osiadła na spodzie i że sznur za działaniem prądu dalej się odwija.

Hook radził zapuszczać w morze dwa ciała, jedno ciężkie a drugie gatunkowo lżejsze od wody, w ten sposób połączone, iżby lżejsze, za uderzeniem ciężkiego o dno, zaraz się odłączyło. Z długości czasu potrzebnego na zatonięcie i wynurzenie się rzeczonoego ciała możnaby rachunkiem wymiarkować głębokość. W praktyce zachodzi wszelako nie mała trudność. Nie mogąc naprzód oznaczyć dokładnie tego miejsca, gdzie się oczekiwane ciało wynurzy, spostrzega zgłębiacz je nie w tym momencie, kiedy ono występuje na widok, ale najczęściej nieco później, i stąd większa od rzeczywistej oblicza głębokość. (C. d. n.)

RADZIWIŁŁ W GOŚCINIE

anegdota dramatyczna w 3. aktach

przez

J. I. KRASZEWSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Scena II

CHORAŻY. *(staje naprzeciw drzwi)*, BASIA. *(cofa się do progu alkierza)*, SZCZUKA.

SZCZUKA. *(z pokłonem)* Czołem panu Chorażemu...

CHORAŻY. *(ponuro)* A! witam asindzieja—witam! ale zarazem u progu muszę mu przypomnieć, iż go proszę, abyś mnie odwiedzinami zaszczycać przestał. Nie chce mi się w domu własnym grubianinem być—a muszę... *(odwraca się)* Panno Barbaro — na ustep!

BASIA. *(spogląda błagająco na ojca, cofa się do progu alkierza, ale wygląda przez drzwi)*.

CHORAŻY. Zatem powitawszy—żegnam! żegnam! Niech Pan Bóg szczęśliwie prowadzi...

SZCZUKA. Przepraszam pana Chorażego, ja tu przybywam nie z własnej woli, ani dla własnej sprawy—posłem jestem. Stare to przysłowie, że posłów nie ścinają ani wieszają. Książę Wojewoda mnie przysłał.

CHORAŻY. Znowu ten uparty popowicz.

SZCZUKA. Książę Wojewoda Wileński Radziwiłł.

CHORAŻY. Prosił mnie na barszcz—odmówiłem—teraz pewnie na krupnik?

SZCZUKA. Nie—panie Choraży—Książę naprzód uklon wam śle.

CHORAŻY. Uklon? daj go katu, jaki mi się zrobił grzeczny!... a dalej?

SZCZUKA. I powiedzieć każe, iż gdy do Nieświeża nie łaska, to on sam do Wulki zjedzie na zrazy.

CHORAŻY. He? on tu? do mnie? Kpisz asindziej, czy drogi pytasz? on do mnie?

SZCZUKA. Nie śmiałyby w tak poważnej materii żartów stroić. Książę mi sam własnymi powiedział ustami. Jedź tam, panie Szczuka, przodem i czekaj na mnie w Wulce. Nie chciał on do mnie się na barszcz pofatygować, to ja do niego przyjadę na zrazy.

CHORAŻY. Cha! cha! Czy nie dowiedział się czasem, co na mojej szabli stoi napisano? *(zdejmuje ze ściany, wydobywa z pochwy i czyta pokazując)*

Sam tu starce, sam tu smyki,

Proszę, proszę na zraziki!

To mu się znać tych przypiekanych zrazików zachciało! *(chowa szablę i rzuca.)*

SZCZUKA. Spodziewam się, że w Siemnej Wulce i inne się dla dostojnego gościa znajdują.

CHORAŻY. Będzie ze mną jadł to, co ja jem, bo ja nikomu nie daję nic innego, choćby Król Jegomość

przyjechał... anim kogo głodnym odprawił, choćby zebraka. Kiedyż to ta łaska pańska ma nastąpić?

SZCZUKA. Dziś zaraz... za godzinę tu być może.

CHORAŻY. *(zwraca się ku alkierzowi)* — BASIA. *(się chowa)* Hej! panno Barbaro! słyszysz asanna? Nie udawaj, żeś niesłuchała! Książę Wojewoda na zrazy jedzie... Każe mu misę przygotować, a słono, a pieprzno, cebuli i majeranku dosadzić, aby Księciu Jegomości smakowało.

BASIA. *(we drzwiach)* Książę! tu! u nas! a czemu my go przyjąć potrafimy? Chleb czerstwy! Mięsa mało... Ojcie kochany... Książę pewnie też sam nie przyjedzie... nie będziemy mieli co dać... Pan Szczuka grzeczny, powie że nas nie zastał... a my z domu uchożemy... jedźmy... uciekajmy!...

CHORAŻY. *(trzęsąc głową)* Ale zapewne! Jeszcze czego nie stało? *(do Szczuki)* A wielu ich tam z nim?

SZCZUKA. *(cicho i smutnie)* Książę Wojewoda, jak panu Chorażemu wiadomo, bez dworu się nie rusza. Najmniej trzysta koni, nie licząc przyjaciół, za nim jedzie...

CHORAŻY. *(kręcąc wąsa)* Trzysta! choćby trzysta, przecież nie ucieknę ani od niego, ani od tych koni... Do trzystu basalyków, niech przybywa choćby w tysiąc, gościnnie przyjmę, póki czem przyjmować stanie — Kurcewiczowi jeszcze na to nie zabraknie.

BASIA. Ojcie! dziś — ale jutro? co pocniemy jutro?

CHORAŻY. Jutro Boże, nie nasze, cicho tam! Ja mówię, że mnie stać na to... Wiele mówisz ludzi i koni?

SZCZUKA. To trudno przewidzieć. Trzysta do czterechset—nieśmiałyby Chorażego oszukiwać, ani przed nim tać.

BASIA. Nuż... jeszcze zabawi dłużej! Mój Boże!

SZCZUKA. *(cicho)* Nie wiem...

CHORAŻY. *(stoi zamyślony)* Póki jest z czego starczyć, Kurcewicz z Siemnej Wulki od gości uciekać nie będzie. Zastawim się, a postawim się... pas ostatni... łyżkę ostatnią, ostatnią koszulę oddam, a wstydu sobie zrobić nie dam... *(myśli)* Wszak tu dziś był Szmul Skonimiec? *(wychodzi żywo, wołając córkę za sobą)* Basiu—proszę ze mną! proszę!

Scena III.

SZCZUKA. *(sam, chwytając się za głowę)* Stało się! Wszystkie moje starania wyszły tylko na to, żem ich ocalić pragnąc dobił—bo go ta zgoda do nędzy do-

prowadzi. Niebyło sposobu, wypłatać się z tej alternatywy, albo by go był zniszczył i spalił w gniewie, albo z wielkiej miłości — zje. W czterysta koni posiadziawszy dni kilka, zdusi go w tym uścisku, zje Sienną Wulkę, jak zjadł niejedną wioskę szlachecką, choć potem sownie ją zapłacił. Ale Choraży nic od nikogo nie przyjmie i wyjdzie z kijem a z honorem... znam go! gotów własnej krwi upuścić, aby sobie wstydu nie dać uczynić. Wulka i oni... i Basia padnie ofiarą. Ale byłże sposób zaradzenia temu?... Żadnego, niestety! — żadnego! Jedno z dwojga, albo... walka i przemoc... albo zgoda i nędza... (wzdycha) A jeśli Choraży dowie się jeszcze, że to ja na tę nieszczęsną dzwoniłem zgodę — już się tu więcej i pokazać mi nieda...

Scena IV.

SZCZUKA, CHORAŻY (*wraca zadumany, trąc czoło*).

CHORAŻY. (*do siebie*) Szmul mi się jak na złość zawiął i wyjechał! Nie było co począć — wolałbym z żydem interes, ale żyda nie ma. Wstydu nie zniosę — będą mieli co jeść i pić do zdechu, choć by mi głowę nalożyć przyszło. Niech Wulka przepada, aby honor był cały! (*spostzegając Szczukę*) A waćpan tu jeszcze?

SZCZUKA. Mam polecenie od Księcia, abym tu na niego oczekiwał...

CHORAŻY. Wiesz asindziej co? świeże powietrze bardzo zdrowe... tu dworek ciasny i zaducha... Przeszedłbyś się może po dziedzińcyku, bo ja teraz mam wiele do czynienia i do mówienia bez świadków, a widzę właśnie, że powołany sąsiad Dyplowicz tu ciągnie. (*Do wychodzącego Szczuki*) A od panny Barbary prosiłbym... trzymać się zdaleka... zdaleka... Obliguje...

Scena V.

(*W chwili, gdy Szczuka wychodzi, wsuwa się DYPLOWICZ pospiesznie temi samymi drzwiami, czapeczka pod pachą*).

CHORAŻY. (*do Dyplowicza*) No, no chodź, nie bój się, proszę — wszak sam po asindzieja poselałem... nie ci się złego nie stanie, włos nie spadnie z głowy... Mam interes pilny...

DYPLOWICZ. (*zginając się w ukłonach*) Che! che! Kochanego sąsiada! Szanownego pana Chorażego — a zawsze żartobliwy! Nóżeczki całuje... Kłaniam uniżenie — Ale cóż to za święto, że mnie wezwać raczyliście?

CHORAŻY. Zgadliście — święto! święto u mnie wielkie, honor niepośledni dla Kurcewicz, a Dyplowiczowi zysk — na wasz młyn woda...

DYPLOWICZ. A! ja bo jeszcze młynka nie mam! nie mam...

CHORAŻY. Za to językiem i rękami mielesz dobrze...

DYPLOWICZ. Che! che! wolne żarty! zawsze facecyjki, kochany Choraży, nieoszaczowany! (*Chce go uściskać, Choraży się cofa i ręce nadstawia*).

CHORAŻY. Tylko zdaleka proszę, bez zbytnej poufałości! panie Dyplowicz... Pogadajmy na seryo, bo czasu do stracenia nie mam. Wać mi siedzisz pod bokiem w Wulce, jak lis na przesmyku i czyhasz, kiedy ja ci w łapę wpadnę... Chciałbyś moją Wuleczkę połknąć? i smakujecie ci...

DYPLOWICZ. Ja? Kto? ja?

CHORAŻY. No tak... Radbyś ją wziąć i to jeszcze po swojemu, psim swędem nabywszy...

DYPLOWICZ. Panie Choraży? ja? ja? O Jezu miły! co za potwarz! jakie posądzenie! Panie Boże, tyś świadkiem niewinności mojej. (*oczy ocierając*) Ja, na cudze czyhać dobro? ja? (*bije się w piersi*) Tak to cnota na świecie... tak...

CHORAŻY. Proszę cię, nie lżyj i nie udawaj! My się przecie znamy jak łyse konie. Chcesz odemnie Wulkę wyszachrować. Otóż twój patron, dyabeł, wyświadczył ci tę łaskę, że ją nastrecza — możesz, byles chciał.

DYPLOWICZ. (*zrazu gorąco*) Jaktó? (*miarkując się, chłodno*) Ja na Wulkę pana Chorażego ochoty nie mam! nie mam!

CHORAŻY. A no, to tak że mów! Nie masz ochoty, bywaj zdrow i pisuj do mnie na Berdyczów — znajdzie się więc inny, co ją zabierze... (*odwraca się*)

DYPLOWICZ. Ależ — za pozwoleniem! Panie Choraży! jeśli to dla pana było dogodne... a warunki nie zbyt ciężkie... dla kochanego sąsiada... choćby ze stratą własną...

CHORAŻY. Słuchaj Dyplowicz... Gadać długo nie pora! albo we dwóch słowach skończymy, albo ty sobie pójdziesz precz... Mnie pilno. Wulki bym za milion nie oddał, bo to z naszych wielkich dóbr ostatni ziemi szmatek, na grób przeznaczyłem sobie... Ale tu idzie o honor domu...

DYPLOWICZ. (*cicho*) Same piaski i borowina.

CHORAŻY. Borowina, piaski, błoto... może być! może!... No — ale mnie to wszystko drogie, bo to święta ojcowizna! Milcz ino, a słuchaj. Zaprosiłem Radziwiłła do siebie, wziął mnie za słowo, za pół godziny zjedzie tu z całym dworem, może w jakie trzysta koni.

DYPLOWICZ. Jezu Nazareński! Radziwiłł tu! tu — on! Książę Wojewoda!

CHORAŻY. Co dziwnego? Nie pierwszyna Koryatowiczom Radziwiłłów przyjmować — alem ja, panie sąsiadzie — goły... szpichrze, piwnice, spiżarnie puste. Tyś sknera i dusigrosz, u ciebie wszystkiego pełno, bo ty wszystkim handlujesz. Mów więc a przedko, czy mi sprzedasz owies, siano, wino, piwo, miód, chleb... i co u ciebie jest, a czego mnie potrzeba?...

DYPLOWICZ. (*kręcąc głową*) Oho! To może więcej byłoby warto, niż cała Wulka wasza! Piaski takie...

CHORAŻY. Cóż Wulka warta?

DYPLOWICZ. Borowina... grunta jałowe... błoto... na pagórkach paproć rośnie. Ale że to o miedzę i że ja chcę kochanemu sąsiadowi w tej okazji wygodzić, choćby z własną szkodą — Bóg widzi! Kiedy pan Choraży jesteś w takim położeniu — muszę — cóż robić! muszę się poświęcić! za Wulkę dałbym dwa tysiące dukatów. Tysiąc na niej jest zapisane do Sluckiej fary, no — a tysiąc... niby...

CHORAŻY. Mówisz więc tysiąc? Ja nie mam czasu się targować. Pał cię dyabli — Dyplowicz rób umowę lub ruszaj do kroć basalyków... Oto moje ostatnie słowo. Nie wiem co moja Wulka warta i co warte twoje stęchlizny. Dasz mi siana, owsa, chleba, mięsa, wina, miodu, wszystkiego, czego te ciury Radziwiłłowskie zapragną — ale — w bród! Niech Kurcewicz znajają! Nie żałując! Owies ino na śródki dziedzińca w kupę zsypać, beczki wytoczyć... wołu całego upiec... dwa... Musi być wszystko, czego dusza zażąda... Ja honor mój ratuję...

DYPLOWICZ. Jaby mój chciał służyć Chorażemu — ale — ale to z tymi ludźmi! jak oni...

CHORAŻY. (*spoglądając na zegar, gwałtownie*) Zgoda, czy nie?

DYPLOWICZ. Ale jeśli oni...

CHORAŻY. (*naciskając go*) Zgoda, czy nie?

DYPLOWICZ. Jednakże... gdyby... wszelako... jakoś...

CHORAŻY. Po raz trzeci i ostatni... Zgoda lub...

DYPLOWICZ. Cóż począć, poświęcam się! Zgoda! Choć ze stratą, byle wam dowieść przyjaźni szczerzej. (kłania się) Ale Wulka moja?

CHORAŻY. Wulka twoja, a co u ciebie zapasów jest, to wszystko moje... Szlacheckie słowo?

DYPLOWICZ. Co robić! Muszę się poświęcić. (wzdycha).

CHORAŻY. Czekaj — jedna tylko ekscypcyja!

DYPLOWICZ. (chwytając go za rękę) A! żadnej! żadnej ekscypcyi!

CHORAŻY. Musisz mi dać sześć łokci ziemi w borze na pagórku... na grób dla mnie i sosnę na krzyż nad mogiłą...

DYPLOWICZ. Panie Choraży! Pan mnie rozczulasz!

CHORAŻY. A teraz, do roboty! żywo! żywo!

DYPLOWICZ. (na stronie) Ziemi i sosny nie przyrzekłem, będzie mi musiał dobrze za nie zapłacić! (wychodzi).

Scena VI.

CHORAŻY, BASIA (wybiega z alkierza).

BASIA. Drogi Ojciec! Jam wszystko słyszała — cóż my pocniemy? gdzie się podziemy?

CHORAŻY. (z powagą) My jutro pójdziemy z kijem i torbami, ale honor Kurcewiczów obronim... (Dypłowicz stoi w progu wahając się.)

CHORAŻY. (zwracając się do niego) Dypłowicz, jeszcze słowo.

DYPLOWICZ. Jaktó? jeszcze co? a...

CHORAŻY. Nie, nie, tylko jedna dobra przyjacielska rada. Jeśli popełnisz jakie szachrajstwo, jeśli czego zabraknie, jeśli co zechcesz wykraść, jeśli ja się wstydu za Waszeci najem... jakem Kurcewicz... w łeb, jak sobace, palnę... Bywaj zdrów...

DYPLOWICZ. (skuliwszy się, wzdycha i wychodzi — Choraży za nim.)

(Dok. n.)

KORESPONDENCYE.

Paryż, 1. Marca.

Dwoma najświetniejszymi przybytkami nauki francuskiej są jak wiadomo Sorbona i kolegium francuskie. Albo w starodawnej *alma Mater*, która fundacyę swoją zawdzięcza największemu królowi średnich wieków, Ludwikowi IX., albo w nowszym, chociaż już poważnego także wieku zakładzie Franciszka I. wykładają najuczeńsi ludzie najwyższą wiedzę. Zaczniemy więc od nich przegląd naukowy, żałując tylko, że z nauki profesorów tak mała liczba młodzieży korzysta. Młodzież ciśnie się wprawdzie do szkoły prawa, do szkoły medycznej, które do praktycznych zawodów przygotowują: tu jednak znajdziesz tylko amatorów, ludzi w wieku, nie mających zatrudnienia, a szukających w nauce miłej tylko rozrywki. Wina to zwierzchniej władzy uniwersyteckiej, która, nie przymuszając studentów do uczęszczania na te kursa, zamienia je na rodzaj wolnych, amatorskich odczytów. P. Renan np. który wyklada o językach semickich w *Collège de France*, a teraz właśnie opowiada bardzo zajmująco koleje przez jakie przeszła w tych wszystkich językach każda z liter alfabetu, nie grzeszy zapewne tą francuską wadą, a nie robiąc już jak dawniej niepotrzebnych wybiegów w dziedzinę polemiki religijnej, umie także unikać wady niemieckiej, to jest ciężkiego i nużącego wykładu. To samo powiedzieć można i o rodakach naszych pp. Chodźce, Kaziemirskim i Kleczkowskim, którzy sumiennie, poważnie wykładają języki i literatury wschodnie lub słowiańskie zarówno francuskiej publiczności nieznanej. Ale tam nawet, gdzie przedmiot mniej suchy, wymaga innych przymiotów w wykładzie, a mianowicie zapału, wymowy, nie sądźcie, żeby p. Franck mówiąc o prawie międzynarodowem, a w tym roku o społeczeństwie i o socyalizmie, lub też p. de Rozière zastępca p. Laboulaye, opowiadając historię prawodawstwa francuskiego, albo pp. Havet i G. Boissier wykładając historię wymowy i poezji łacińskiej, myśleli tylko o tém, jakby wywołać alluzjami oklaski słuchaczy. Umieją oni połączyć erudycję najgłębszą, najwszechstronniejszą z dowcipem i wymową, a niech im to Niemcy wyrzucają, my którzy oceniamy wymowę i dowcip, powiemy, że nie każdy może być Niemcem. W tém Niemcy wyższość mają, (bo i dla nich sprawiedliwym być muszę), że urządzenie właściwsze uniwersytetów czyni tam wykłady profesorów rzeczywi-

ście pożytecznymi dla słuchaczy, podczas kiedy tutaj głos profesora bywa zbyt często głosem wołającego na puszczy, ale doprawdy profesorowie francuscy z małym wyjątkiem (chcę mówić o p. Philarète Chasles, który najczęściej z katedry prawi bezsensu) śmiało mogą stać na równi z niemieckimi, jeśli ich nie przewyższają.

W Sorbonie znajdujemy jeszcze liczniejsze na to dowody. Kto słuchał wykładu p. P. Janet profesora historii filozofii o teoriach politycznych i społecznych Rousseau i Montesquieu, musi podziwiać i naukę profesora i biegłość w rozbieraniu najzawięślejszych systematów, i zdrowy sąd, praktyczne jego poglądy o utopjach i o wielce zbawiennych pomysłach obu filozofów, których porównywa nie tylko między sobą, ale i z wszystkimi publicystami nowszych czasów i starożytności. P. Caro, wiele poświęcający dla formy, bardzo jednak umiejętnie rozbiera zasady społeczne i walczy za demokracją liberalną przeciw teoryom absolutyzmu lub demokracji niwelującej. P. Geffroy, uczony autor dzieła o Gustawie III., w tym samym co p. Caro duchu, opowiada historię domagologii w starożytności. P. Hinly, profesor geografii, mówiąc o rzekach europejskich, przebiega historię polityczną i ekonomiczną Europy, przytaczając często geografów niemieckich, których jest poważniejszym tylko uczniem i współzawodnikiem. Egger, pierwszy we Francji hellenista opowiada z niesłychaną erudycją dzieje literatury greckiej; Mézières rozbiera dzieła Goethego i oddaje wszelką sprawiedliwość gieniuszowi niemieckiemu, walcząc jedynie przeciw zabórczej a obłudnej polityce pruskiej; Lenient nareszcie wygrzebuje stare pomniki poezji francuskiej z XIV. wieku i zbierając wszystkie w niej promyki patryotyczne stara się obudzić w duszach wiarę w przyszłe szczęście i odrodzenie Francji.

Jednem słowem wszyscy traktując o żywotnych kwestiach, mając oczy zwrócone na smutny stan Francji i pracując wedle możliwości nad jej naprawą, używają do tego dzieła głębokiej nauki i wszystkich darów umysłowych, którymi natura tak hojnie obdarzyła Francuzów. — W fakultecie teologicznym, brat sławnego X. Hyacintha ks. J. Th. Loyson zajmuje się historią literatury chrześcijańskiej w XIX. wieku, a gorliwy, niezmordowany przyjaciel sprawy naszej X. Ad. Perraud opowiada dzieje reformacji i wojen religijnych XVI. wieku, czerpiąc w tej

dalekiej przeszłości naukę dla teraźniejszej chwili, równie smutnej, a z której jak wówczas, może wysnuć się przyszłość jeszcze świetna. Mówiłem tylko o literaturze i teologii, bo na co nam wspominać o matematykach i fizykach powszechnie uznanych za najbogiejszych profesorów nauk ścisłych i przyrodniczych, pp. Milne-Edwards, Ste Claire Deville, Desains, Wurtz, Gavarret (dwaj ostatni w szkole medycznej). Claude Bernard, Chasles, Serret, i t. d...? Widzicie że nie zbywa na mistrzów w nauce; należy się spodziewać, że i uczniów teraz nie zabraknie; albowiem młodzież nasza szkolna poważnie i myśli o odwiecie na polu naukowym, równie jak na gruncie politycznym.

Towarzystwa literackie i naukowe, jako to akademie nauk moralnych, akademie nauk ścisłych, akademie medyczna, Towarzystwo geograficzne od roku wzięły się do pracy z podwójną gorliwością. Akademia francuska jedna zasługuje na zarzuty, jakie jej powszechnie czynią, a po niczem nie usprawiedliwionych wyborach pp. Ollivier, d'Aumale, Rousset, po skandalicznym zajęciu między ks. biskupem Dupanloup i p. Littré, można twierdzić, że zajmując się bardziej polityką i stronniczymi kłótniami niż literaturą i językiem francuskim, chybia swego celu i sama zmniejsza wpływ, jakoby na postęp francuskiej oświaty wyrzucić mogła.

A jednak, mimo nauki sławnych profesorów o których wspominałem, oświata francuska, powszechnie tak nisko stojąca, powinna zwrócić na siebie uwagę wszystkich myślących ludzi, wszystkich szczerze życzących dobra ojczyźnie. Szkoły niższe w opłakanym stanie, średnie ciągle zostające pod ślepym jarzmem krepującej wszystkiego rutyny, wyższe skutkiem złej organizacji nie przynoszące należytej korzyści — oto jest może największa plaga społeczeństwa francuskiego, a zajęci pretendenci, monarchia biała lub trójkolorowa, nie myślą prawie o tej najpilniejszej reformie, ba nawet w izbie wersalskiej odpychają zaprojektowane przez ministra skromne a wcale nie radykalne zmiany.

Tymczasem bieżąca literatura daje zawsze masom niezdrowy pokarm umysłowy. Znać wszystkie broszury o wojnie pruskiej, wszystkie bardzo zkadłinną pożyteczne pamiętniki generałów Chanzy, Faidherbe, Ducrot, Wimpffen, d'Aurelle de Paladines i t. d... Znać dwa dzieła p. Jules Favre o dyplomatycznej karierze swojej, która mu się tak niefortunnie udała... Dotąd, czemu się nie dziwie, nie napisano jeszcze całkowitej historii tych wypadków; jednak książka p. Claretie p. t. *Revolution de 1870-71*, jeszcze nie dokończona a wychodząca periodycznie, jest godną uznania próbą zebrania wszystkich pojedynczych opowiadań w jedną treść, pełną życia i barwy całość. Po za temi opowieściami najświeższych zdarzeń, pojawiły się w ostatnich miesiącach dzieła p. Taine p. t. *Notes sur l'Angleterre*, p. Guizot *Życie księcia de Broglie*, p. Renan *la Réforme intellectuelle et morale*. P. Taine jest niezaprzeczenie jednym z najbogiejszych pisarzy tego czasu: nikt niema więcej siły w stylu, więcej malowniczości, chociaż jednostajny trochę koloryt sprawia po przeczytaniu całego tomu niemiłe wrażenie. Z drugiej strony, jest założycielem nowej szkoły krytycznej: chciał z krytyki zrobić jakoby naukę ścisłą, i wynaleść prawie algebraiczne formuły na określenie talentu każdego pisarza. Chociaż teoria ta zbyt absolutna nie mogła być zastosowaną w praktyce, chociaż sam autor musiał od niej zbaczać w pojedynczych studiach,

jej to jednak zawdzięczamy cały szereg pięknych dzieł krytycznych: „Essais de critique littéraire“, „Nouveaux essais de critique littéraire, a najpiękniejsze z nich „Historya literatury angielskiej.“ Lekcje jego o Estetyce w szkole sztuk pięknych także są znakomite, mimo przesadnej systematyczności. Ostatnie dzieło jest bardzo dokładną i piękną fotografią obyczajów angielskich, do której autor dołącza trafne bardzo porównanie z Francją a szczególnie gruntowne wykazanie niedostatków wychowania publicznego we Francji. — Nowa książka p. Guizot jest dalszym ciągiem monografii jakie uczony i sławny pisarz poświęca zmarłym przyjaciółom i współpracownikom swoim z czasów Filipa. Ta ostatnia jest tém dla nas ciekawszą, że zawiera szczegółowe opisanie stosunków Napoleona z Polakami w r. 1809 i w następnych latach. Dzieło p. Renan jako dawniej napisane i żadnej ścisłej ani praktycznej nie zawierające konkluzji nie nie doda sławie autora i małego będzie pożytku dla jego ojczyzny — wolę erudycję jego niż politykę.

W ogóle zresztą wszyscy obecnie polityką zajmujący się pisarze, czy w poważniejszych dziełach czy w dziennikarstwie, błędzą po manowcach stronniczych kłótni i intryg, w których loika bierze górę. Światła tu braknie, a tém światłem byłby bezinteresowny patryotyzm, którego ani śladu znaleźć w naszych dziennikach nie można. Nawet najrozumiejsze, w stronnictwie monarchicznem *Debats*, w stronnictwie liberalnem *le Temps*, w obozie republikańskim *la République française* ulegają tym wpływom zabijającym. Cóż dopiero mówić o niemoralnych podpieraczach cesarstwa lub monarchii z prawa bożego, *Gaulois* i *Figaro*? Wiecie już o tem, że pierwszy urzędownie zawieszony został, jako też w dzień następny mający go zastąpić *l'Etoile*. Nowe dzienniki pokażą się, jak zwykle na wiosnę: między innemi *le Corsaire* i dawniej zawieszony *Rappel*, *Pays* i *Avenir libéral*, z których pierwszy już wychodzi, inne zaś z początkiem przyszłego miesiąca zaczną. Z powieści umieszczonych w ich odłamek można przytoczyć tylko *la Chair à Canon* w *Constitution* przez p. Gagneur, która ma przynajmniej tę zaletę, że wznieca patryotyzm, opisując przerażające sceny pruskiego najazdu.

Teatry oprócz sztuk p. Al. Dumas *la Visite de Noces* i *la Princesse Georges* w Gymnase, i *Rabagas* p. Victorien Sardou o którym w przeszłym numerze *Switu* donieśliście, a który jest zawsze powodem zgorzezeń w Wodwilu, nic nie przedstawiają nowego. Ale za to odegranie po 20 letniej przerwie *Ruy-Blas* w Odeonie, przyczyniło się do obudzenia zmysłu artystycznego w publiczności. Czy wróca kiedy świetne czasy teatru francuskiego? Czy nowi autorowie utworzą nową szkołę poetów czerpiącą natchnienie w wyższych sferach piękności idealnej i w uczuciu patryotycznym, a nie goniącą za zyskiem, nie pochlebającą namiętnościom zepsutego społeczeństwa? Oby skończyło się jak najrychlej na scenie francuskiej złowrogie panowanie p. p. Dumas i Sardou! Oby *Rabagas* i *le roi Carotte* pp. Sardou i Offenbach były ostatnim oddźwiękiem literatury drugiego Cesarstwa. Tém życzeniem kończę, zostawiając na przyszły raz powtórzenie ciekawych pogłosek o tegorocznej wystawie malarskiej, której niezwykłą przepowiadają świętność.

W. G.

PROMYKI.

W ubiegłą Niedzielę (d. 3. b. m.) miał w sali ratuszowej p. Zygmunt Sawczyński wykład: „O wychowaniu publicznem w Anglii.“ Kto dziś nie pisze i nie mówi o wychowaniu?... Dlatego właśnie, że sprawa jest ważną i żywotną, każdy czuje się powołanym do wyrzeczenia swoich poglądów, które często nie mają w sobie nic — prócz frazesu. Mówić o oświeceniu ludu jest modą, więc mówić trzeba — *mundus vult decipi*... W takiej powodzi wyrazów o tyle czecznych, o ile emfaticznych, miło jest usłyszeć czasem słowo głębsze, oparte na wiedzy przedmiotu i praktyce życia. Słowo takie porusza i skłania do rozmyślań, które mają swoje owoce.

Szczęśliwy to kraj, ta Anglia!... Ile to panegiryków na jej cześć już powiedziano — od natchnionej apostrofy Szylera aż do edukacyjnego traktatu p. Sawczyńskiego... I wcale słusznie. Że jest Anglia wzorem prawdziwego konstytucjonalizmu, o tem wie każdy do przesytu, ale mniej pisano i czytano o systemie angielskiego wychowania. A zdaje mi się, że tam pojęto najtrafniej tę jedynie słuszną podstawę wszelkiej edukacji: szkoła nie powinna uczyć, tylko wychowywać. Jakby się to komukolwiek wydawało śmiałem i dziwaczne, przecież tak jest w gruncie rzeczy i nawet myślę, że tego tu dowiodę...

To co nazywamy duchową istotą człowieka składa się z rozumu, woli i charakteru. Ten ostatni jest syntezą przymiotów duszy, złych i dobrych, objawiających się dziełami woli i rozumu. Otóż systemy edukacyjne wszystkich prawie cywilizowanych państw uważają tylko jeden czynnik duszy — rozum — za materiał, który należy w szkole zużytkować i rozwinąć. Ku temu dąży wszelka edukacja publiczna chociażby tak wzorowo urządzona, jak w Prusiech i Saksonii. Dwie inne władze duszy pozostawione są na wolę Opatrzności lub działanie przypadku. Jest tu pewne przeoczenie tego, że prawdziwa nauka zdolna przyjąć się tylko w umyśle mającym pełną samowiedzę swego obowiązku względem nauki, posiadającym w swojej woli i charakterze bodźca do pracy. Jak długo popęd naukowy nie będzie się czerpał z własnego charakteru, jak długo w głębinie własnej duszy nie zrodzi się ta najwznioślejsza z ludzkich namiętności, tak długo nauka młodych pokoleń będzie móżdżem, bardzo często nieplodnym. Sądzę więc, że należy zacząć inaczej. Wypiastrować w młodym człowieku dobrą wolę i właściwy charakter, odsłonić mu wielką prawdę, będącą dlań wielką tajemnicą, że nauka jest wielką potrzebą, a potem tylko z lekka kierować samodzielnym biegiem tej młodej, zapłodnionej zacnem dążnościami myśli — oto logiczny, mojem zdaniem, tor wychowania. Jest drogocenne źródło dobrego w samym człowieku. Wychowanie powinno dotrzeć jak najprędzej do tego właśnie źródła i otworzyć mu odpływ — niech ono samo działa, niech przeobraża, niech daje popęd. Tem źródłem jest: ku dobremu skierowana wola. Gdy tę wolę wypielegnuje wychowanie, nauka będzie ziszczoną, bo jej potrzeba stanie się osobistem pocuciem młodego człowieka, nie frazesem moralizującego pedagoga... Rozwinąć dobre strony ludzkiej natury i dopiero na takim gruncie zbudować trwałą gmach wiedzy — oto droga łatwa, bożym palcem wskazana, ułatwiająca bez miary sprawę cywilizacji. Wtedy już początkowe szkoły dawać będą nie samą tylko początkową naukę, one będą wychowywały młode pokolenia... Wyłączność w kierunku przeciwnym rodziła od czasu do czasu gorycz w pewnych

umysłach, zarówno zacnych jak egzaltowanych, które patrzyły na wielki błąd edukacyjny, popełniany od lat tylu a nie mogły szybko skryształizować i w praktyczną ująć modłę poczutej, w genialnej chwili pochwyconej myśli. Dlatego wiek XVIII stworzył „Emila“ Jana Jak. Rousseau, dlatego wiek nasz wydał powtórną tamtegoż edycję, tylko do nowożytnych potrzeb i nowożytnych dziwactw bardziej zastosowaną — w „Emilu XIX wieku“ p. Alfonsa Esquiros... Na dnie tych niezwykłych i ekscentrycznych pomysłów leży prawda — z móżdżem wprowadzić przedzierającą się przez oponę mrzonek — że cała natura ludzka powinna wejść od razu w rachubę systematów pedagogicznych, że szkoła początkowa dawać powinna tylko potracenia naukowe, a główna jej praca skierowaną być winna ku wykształceniu dobrej woli i wytworzeniu charakteru energicznego, żądze wiedzy w piersi własnej noszącego. Kto wychowa jedno takie pokolenie silnych ludzi, przysłuży się społeczeństwu więcej, jak najwzorowszym elementarzem. To właśnie jest wadą książek dla szkół początkowych, że nie mają w sobie zdrowych nasion, któreby zapładniały charakter zacnymi instynktami a woli nadawały zdrowy kierunek. Ponoś zostanie wieczną prawdą, co powiedział Michelet w swoich: „*Nos fils*,“ że niema rzeczy trudniejszej nad napisanie dobrej książki dla ludu lub dla dzieci.

Na wytworzenie jednak charakterów silnych i pracujących oświecenia składa się wiele czynników, których niema w naszym społeczeństwie. Jednym z nich jest cześć dla zasługi, manifestowana tak często i tak jawnie, ażeby wieść o niej doszła najbardziej głuchej ucha, aby uderzyła najleniwszą wyobraźnię, aby zachwyciła oko, dającą się podrażnić tylko zewnętrznymi obrazami. W czci dla zasług nie należy się wystrzegać trochę nawet ostentacji teatralnej. Jeżeli się ma takim zewnętrznym efektem przemówić do wyobraźni ludu lub dziecka, jeżeli się ma tem spełnić czyn edukacyjnej natury, nie można szczędzić bengalskiego ognia — bo on tu tylko pomoże... Potrzeba, aby młody, dojrzewający umysł spotykał na każdym kroku znamiona hołdu dla ludzi odznaczonych zasługą, a wtedy praca i zasługa nabiorą dla niego praktycznej wartości i przemienią się w ideał bardzo pożyteczny, bo widome niosący korzyści... Ambicja była przecież zawsze najsilniejszą sprężyną ludzkich dążeń... Pięknie też mówił p. Sawczyński o tej ławce Canninga, która w taką wzbijała dumę siedzącego na niej młodzieniaszka, iż postanowił sobie koniecznie dorównać swemu poprzednikowi z tejże samej ławy szkolnej... I patrzcie — wyszedł na znakomitego członka parlamentu. Rozumieją to rzędy i społeczeństwa, że takie manifestacje publicznego hołdu, działające na wrażliwość ludu i młodzieży, rozbudzają dobre instynkty i stają się piastunami niejednej, w zarodku kielkującej sławy. U nas jednak takich poglądów na rzeczy niema — u nas wymierają potężni myśliciele, poeci, mężowie znakomitej nauki bez echa i bez — pomnika... Na Westminster nam nie starczy, ale mój Boże, na pomnik! *Exegi monumentum aere perennius!* wyspiewał ongi Horacy, patrząc na dzieła swej Muzy... U nas ta apostrofa łacińskiego satyryka musi być jedyną osłoda pozagrobową dla ludzi, którzy życie przepracowali narodowi na pożytek i chwałę... Niech się cieszy Karol Szajnoch, że szczęśliwym trafem napisał „Bolesława Chrobrego“ i „Jadwigę i Jagiełło“, niech po za mogiłą przewraca karty swych dzieł wspaniałych, bo my spiszów ani Carrary dla

niego nie mamy... Kiedy mogła starczyć Horacemu księga ód i satyr za pomnik, to czemużby miał Szajnocha być tyle wybrednym, aby się jeszcze dobijał o kamienie cmentarne i bombast panegirycznych napisów!... Dając jednakże pokój sarkazmowi, poruszamy tę myśl na seryo — Karolowi Szajnosze należy wystawić pomnik we Lwowie... Nie drogie to, a piękne — a konieczne, jeżeliśmy nie wykreśliли wdzięczności ze słownika naszych pojęć...

Kronika bieżąca naszego miasta jest tak uboga — jak zwykle; wrażeń artystycznych niewiele, nadziei do przesytu. W operze niemieckiej gości obecnie w przejeździe znakomita śpiewaczka z Warszawy panna Müller-Czechowska, zachwyciwszy jako Małgosia we „Faustie” gromadnie zebraną publiczność. Nastąpi Lukrecja Borgia i Afrykanka. — Towarzystwo muzyczne wykonało na swym przedostatnim wieczorku czwartkowym (d. 29 z. m.) wielki koncert Sebastjana Corelli na kilkadziesiąt skrzypiec a wykonało go z całą precyzją, jakby na dowód, że we Lwowie kwitnie nie tylko muzyka fortepianowa. Wprawdzie nie wszystkich artystów biorących udział w tym koncercie wykształciło Towarzystwo muzyczne, ale trudno nie przyznać, że młodzi a wiele obiecujący wirtuozi skrzypkowi, jak pp. M., Sz., i inni, wychowali się pod urokiem tej atmosfery artystycznej, która zapanowała we Lwowie dopiero od czasów energicznego wystąpienia p. Mikulego.

Nowy teatr się organizuje. Artystów pozyskano wielu i to pierwszorzędnych — ale bliższe objaśnienia muszą być odłożone na później, bo nie chcemy zdradzać tajemnicy stanu. Jednego zaś tylko domaga się stano-

wczo i powszechnie opinia publiczna, to jest ziszczenia danych obietnic co do objęcia najwyższego kierunku nad sceną przez p. Jana Królikowskiego. Sądźmy, że działamy tu w myśl komitetu założycieli, upewniając sceptyków, że p. Królikowski przyjedzie — jeszcze nieco cierpliwości a — przyjedzie!...

Na zakończenie trochę liryizmu. Do nowego teatru nie są zaangażowani pp. Karol Królikowski, Szymański i Leszczyński. Starych znajomych żegna się czule i zapomina uraz. Jeżeliśmy nie zawsze mogli przyklasnąć rezultatom ich artystycznych usiłowań, to jednak dobrą wiarę i sumienną pracę uznać należy tam, gdzie była. Ileż to postaci, czasem konwencyonalnych, ale częściej pełnych werwy i charakteru przesunął przed naszym okiem w szeregu lat pan Królikowski — a i panu Leszczyńskiemu nie zapomnimy długo kilku jego znakomych kreacji (Ingomar, Otello, Tuman), chociaż w ostatnich czasach tak znacznie się zaniedbał... I jeszcze jedno pożegnanie — najbardziej rzewne. Ironią losu tracimy także artystkę, od której Lwów tak wiele się spodziewał, bo już tak wiele otrzymał — tracimy to wdzięczne dziecko lwowskiej sceny, do którego publiczność w ostatnich czasach tak przylgnęła. I panna Deryng nie została utrzymaną dla przyszłego teatru... Gdzie jednak się oddali, niech w sercu zatrzyma pamięć naszej wdzięczności za tyle wrażeń miłych i pięknych, jakie w umysłach naszych wywołała poetycznym urokiem gry swojej... A kiedyś, gdy dojrzeje na znakomitą artystkę, w co silnie wierzymy, niech znowu do nas powróci — do tej publiczności, która widziała pierwsze promyki jej talentu, i która ją traci z tak nieukojonym żalem.

Zet.

Wiadomości naukowe, literackie i artystyczne.

FILOZOFIA. *Franck Ad. Moralistes et philosophes.* Paris. Didier str. 484. 1872. Jest to niepełny wprowadzie, ale rozległy obraz nowożytnej filozofii, przedstawiony w jej głównych wyobraźniach; głębokie i oryginalne charakterystyki Galileusza, Descartesa, Spinozy, Goethego, Cousina, Janeta, Renouviera i kilku innych.

POEZJA. *Weilen J. Rozamunda*, dramat w pięciu aktach, przekład S. z Ż. D. Warszawa. 1872. Utwór w całości swego układu słabszy od innych tegoż poety, niemniej jednak pełen jedności i plastyki w obrazowaniu a porywającej siły w niektórych epizodach.

— *Komedye Jana Alex. hr. Fredry* 2 tomy, Gebethner i Wolf 1872. Pomieszczono tu: *Przed śniadaniem*, *Drzemkę pana Prospera*, *Piosnkę wujaszka*, *Mentora*, *Posaźną jedynaczkę*, *Consilium facultatis*, *Poznaj nim pokochasz*. Miła to wiązanka utworów bogatych w dowcip, któremu jednak brakuje głębszej moralnej dawności.

LITERATURA. *Alfred v. Wurzbach. Die Zeitgenossen.* Wiedeń 1872. W 12 zeszytach podane tu treściwe życiorysy Uhlanda, Karola Vogta, Lassala, Dumasa syna, Rossiniego, Schopenbauera, Herzena, Gutzkowa, Kaulbacha, Wagnera i Dawizona, będących głównymi przedstawicielami wszystkich kierunków umysłowych obecnej chwili.

— Od lat sześciu wychodzą w Berlinie (u Aschera) „*Roczniki Szekspira*”, wydawane przez Towarzystwo zawiązane w celu rozszerzania kultu tego poety w Niemczech. Roczники te zawierają długi szereg wyborczych rozpraw, wyświecających ze stanowiska filozofii i poezji twory Szekspira i mieszczących cenne wskazówki praktyczne co do wprowadzania jego sztuk na scenę. Ostatni, świeżo wyszły tom pomieścił znowu dwie bardzo pożyteczne w tym kierunku rozprawy, Friesena: „*Jak należy grać Szekspira?*” i Ulricgo: „*O humorze Szekspira*.”

HISTORIA. *Pressensè, Le Concile de Vatican, son histoire et ses consequences politiques et religieuses.* Paris 1872. Dzieło napisane przez protestanta z rozumną bezstronnością sądu i tolerancją zasad. Pragnąłby kościół pogodzić z postępem i cywiliza-

cją, dla pięknych dzieł katolicyzmu żywi szczere uwielbienie, potępiając nawzajem dogmaty i przepisy kościelne, negujące swobodę ducha i wolną wolę. W swych wywodach łączy gruntowną logikę z wytwornym i nawet w polemice przyzwoitym stylem. (*Kłosy*.)

NAUKI PRZYRODNICZE. *L. Figuier. Les races humaines.* Paris. Hachette. 1872. Kto się godzi z teorią Quatrefages'a o pochodzeniu rodzaju ludzkiego od jednej pary i z księgami Mojżesza o początku świata, ten znajdzie w książce Figuiera głęboką erudycję i rzadką jasność wykładu traktującego wszystkie żywotne dziś kwestye fizjologii i etnografii pierwiastkowej.

ODCZYT. Dr. *Adam Belcikowski* rozpoczął w Muzeum techniczno-przemysłowym w Krakowie szereg odczytów: „O poezji polskiej w XIX wieku i o jej wpływie na umysłowe i polityczne życie narodu.” Umieścimy je w *Swiecie*.

TEATR I SZTUKI PIĘKNE. W Krakowie odegrano d. 2. b. m. tragedję Szekspira „*Król Jan*.” Rolę tytułową przedstawił p. Bol. Ładnowski. — W Warszawie przedstawiona została na dochód pani Modrzejewskiej tragedia G. Konrada: „*Fedra*.” — W Poznaniu grano z powodzeniem d. 2. b. m. „*Mentora*” hr. Fredry (syna), a przygotowują fragment z dramatu Mickiewicza: „*Konfederaci Barscy*.” — W Odeonie paryskim wznowiono i z entuzjazmem przyjęto dramat Wiktora Hugo: „*Ruy-Blas*.” — W Dreźnie przedstawiają dramat Kalderona „*Nieślomny Książę*” w przerobieniu scenicznym Karola Gutzkowa z muzyką Mendelssohna-Bartholdy. Tamże odegrano bez powodzenia idyllę bibliijną Ernesta Ritтера: „*Ruth*.” — W Szewernie przedstawiono „*Antygone*” Sofoklesa, sztukę tego poety najbardziej zbliżającą się swym układem do nowożytnych prawideł dramatu. Dlatego powodzenie tejże, jak dawniej w Berlinie, tak tu wielkie.

— W Poniedziałek d. 11. b. m. o godzinie 6tej odbędzie się w sali ratuszowej *walne zgromadzenie Tow. muzycznego*. Porządek dzienny: 1. Złożenie mandatów przez Wydział. 2. Wniosek członków. 3. Wybór nowego Wydziału. Ktoby z członków nie otrzymał przypadek karty zapraszającej, raczy się po takową zgłosić do kancelaryi Tow.

Lwów d. 1. Marca 1872.

Z Dyrekcji.